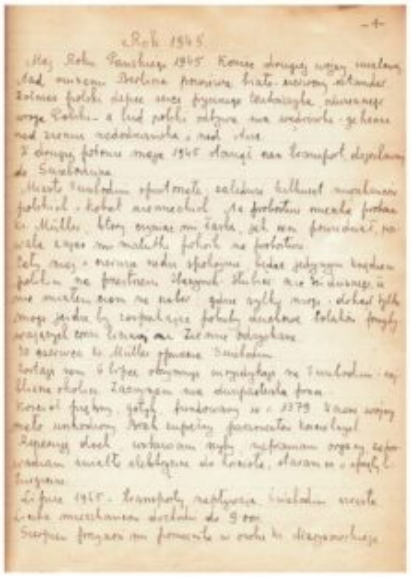
Biografia księdza kanonika Piotra Janika

Z kart Kroniki Parafialnej

Rok Pański 1945



Maj Roku Pańskiego 1945. Koniec drugiej wojny światowej. Nad murami Berlina powiewa biało-czerwony sztandar. Żołnierz polski depcze pysznego teutończyka, odwiecznego wroga Polski – a lud polski odbywa swą wędrówkę – gehennę nad ziemię nadodrzańską i nad Wisłę. W drugiej połowie maja 1945 stanął nasz transport, dojechaliśmy do Świebodzina. Miasto Świebodzin opustoszałe: zaledwie kilkuset mieszkańców polskich i kobiet niemieckich. Na probostwie mieszka pro bono ks. Müller, który czyniąc mi łaskę, jak sam powiedział, pozwala zająć mi malutki pokoik na probostwie. Cały maj i czerwiec siedzę spokojnie, będąc jedynym księdzem polskim na przestrzeni Zbąszynek – Słubice: nic też dziwnego, że nie miałem czasu na szaber: gdzie tylko mogę, dokąd tylko mogę jeżdżę by zaspokajać potrzeby duchowe Polaków przybywających coraz liczniej na Ziemie Odzyskane.

30. czerwca Ks. Müller opuszcza Świebodzin

Zostaję sam.

6. lipca otrzymuję jurysdykcję na Świebodzin i najbliższą okolicę. Zaczynam swą duszpasterską pracę. Kościół piękny, gotyk, fundowany w 1379. W czasie wojny mało uszkodzony. Brak zupełny paramentów kościelnych. Reperuję dach, ustawiam szyby, naprawiam organy, zaprowadzam światło elektryczne do kościoła, staram się o sprzęty liturgiczne.

Lipiec 1945 – transporty napływają. Świebodzin wzrasta. Liczba mieszkańców dochodzi do 9000.

Sierpień przynosi nam pomocnika w osobie Ks. Marynowskiego poczciwego i trochę już zdziecinniałego staruszka. Zawsze jednak pomoc w pracy duszpasterskiej.

10 września otrzymuję pierwsze pismo Administratora Apostolskiego na Gorzów (pisane z Poznania), Ks. Bp Edmunda Nowickiego.

25 września otrzymuję od tegoż nominację na proboszcza parafii Świebodzin. Jednocześnie jestem prefektem w Seminarium i Liceum, które od 1. września zostało w Świebodzinie uruchomione.

16. października przyjeżdżają do Świebodzina Siostry Pasterki a dnia 1. listopada uruchamiamy pierwsze przedszkole […] na całej ziemi lubuskiej.

W listopadzie zakładamy stowarzyszenia religijne: kółko Ministrantów, pierwszy chór na ziemi Lubuskiej pod wezwaniem św. Cecylii, Żywy Różaniec, Sodalicję Mariańską Młodzieży Męskiej i Młodzieży Żeńskiej. Sam prowadzę wszystkie stowarzyszenia przy pomocy świeckich.

8. grudnia Ks. Marynowski odchodzi na samodzielną placówkę do Opalewa. Zostaję sam: Gimnazjum, dwie szkoły powszechne, miasto i 21 wiosek w promieniu 17km. A jednak daję sobie przy Bożej pomocy radę. Alarmuje Gorzów – lecz na próżno – nie mają księży. Długo tak człek nie pociągnie, dzień i noc właściwie na nogach.



Kościół parafialny









Z życia przedszkola parafialnego

Ksiądz Piotr Janik urodził się 26 czerwca 1907 r. w Staszowie, w powiecie sandomierskim, z ojca Tomasza i matki Julii z domu Podsiadło. Szkołę powszechną ukończył w rodzinnym mieście, naukę kontynuował w Państwowym Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Krakowie. Egzamin dojrzałości zdał 31 maja 1927 r. Studiował na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Końcowe egzaminy zdał celująco. Po obronie pracy magisterskiej pt. „Antychryst i czas jego przyjścia" 21 czerwca 1932 r. Rada Wydziału nadała mu stopień magistra teologii. 26 czerwca 1932 r. otrzymał święcenia kapłańskie we Lwowie. Po otrzymaniu święceń zajmował się edukacją dzieci i młodzieży jako wikariusz obrządku łacińskiego. Uczył w szkołach powszechnych w Brzeżanach i okolicznych miejscowościach. W latach 1934-1938 nauczał w Stanisławowie, w Szkole Ćwiczeń przy Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim oraz Liceum Pedagogicznym. W roku szkolnym 1938/39 na własną prośbę został przeniesiony do Brzeżan i pracował w Gimnazjum Państwowym.



Ksiądz Piotr Janik
Pierwszy proboszcz parafii Świebodzin

W czasie wojny nauczał religii prywatnie, brał też udział w nauczaniu tajnym, ucząc matematyki, geometrii, łaciny i języka niemieckiego. Dojeżdżał też do Szybalina, parafii położonej 14 km od Brzeżan. Po wojnie ks. Piotr Janik wyjechał z parafianami na Ziemie Zachodnie, gdzie 6 lipca 1945 r. otrzymał jurysdykcję na Świebodzin, a 26 września ks. dr Edmund Nowicki - Administrator Apostolski na Gorzów - mianował go proboszczem parafii p.w. św. Michała Archanioła w Świebodzinie. Rok później, 13 czerwca 1946 r., został dziekanem dekanatu świebodzińskiego. Po nawiązaniu kontaktu z Okręgiem Szkolnym w Poznaniu nauczał religii w latach 1945-1952 w Gimnazjum i Liceum Miejskim Świebodzinie. Na podstawie zlecenia kurii w Gorzowie na nauczanie religii w latach 1957-1960 uczył w Liceum Ogólnokształcącym. Sprawował też posługę kapłańską w Szpitalu Powiatowym i Sanatorium Rehabilitacyjno-Ortopedycznym w Świebodzinie. 6 marca 1973 r. został kanonikiem rzeczywistym gremialnym Kapituły Gorzowskiej. Nie zdążył przejść na emeryturę, zmarł 5 czerwca 1978 r., w rodzinnym Staszowie. Tam został pochowany.

Pierwsze lata. Kształtowanie się wspólnoty religijnej

[...] Świebodzin dla wielu Rosjan był pierwszym niemieckim miastem, z którym się zetknęli. Zachęcani przez propagandę [...], zdemoralizowani wojną, pamiętający o zbrodniach dokonanych przez Niemców, nie mieli względu na los cywilów. Ostatnia msza święta w kościele św. Michała odbyła się zaraz po tym, jak 1 lutego 1945 r. jej uczestnicy po raz pierwszy mieli okazję zetknąć się z nową rzeczywistością. Mszę odprawiał proboszcz Müller. Dzielił on następnie los swoich rodaków. Wysiedlony wraz z pozostałą ludnością do Wielkopolski, umarł pod koniec marca, pełniąc posługę w sąsiedniej parafii, bo się ostatecznie ewakuować 30 czerwca 1945 r. [...] Stopniowo na Ziemie Zachodnie zaczęli napływać przesiedleńcy ze Wschodu. Niepewni swego nowego losu byli jednak na tyle zdeterminowani doświadczeniem, które wiązało się z życiem pod władzą radziecką, że zdecydowali się porzucić całe dawne życie i rozpocząć nowe, setki kilometrów na zachód od dotychczasowych siedzib.

Charakterystyczne było, że przesiedlały się całe miejscowości, był to czynnik, który ułatwiał adaptację, zmniejszał poczucie urazy. Nie ma jednak wątpliwości, jak ważna dla Polaków ze Wschodu była możliwość uzyskania posługi duchownej, korzystania z sakramentów świętych, posiadania własnego księdza, kościoła, parafii. Tego wszystkiego, co od narodzin towarzyszyło ich życiu.

Kościół polski i jego hierarchowie świetnie te potrzeby rozumieli. Stało się koniecznością ustalenie, w porozumieniu i za zgodą Stolicy Apostolskiej, zasad regulujących status Kościoła rzymskokatolickiego na nowych ziemiach. Już 28 czerwca 1945 r. kardynał August Hlond przedłożył w Sekretariacie Stanu w Watykanie projekt organizacji Kościoła na Ziemiach Zachodnich, uwzględniający sytuację wynikającą ze zmiany granic. 8 lipca wpłynął ze Stolicy Apostolskiej stosowne upoważnienia. [...] W konsekwencji 1 września 1945 r. urzędowanie objął administrator apostolski ks. Eduard Nowicki. Świebodzin, dotychczas podlegający archidiecezji wrocławskiej, znalazł się w nowo powstałej strukturze kościelnej.

W Świebodzinie polskie życie religijne pojawiło się już w maju wraz z przyjazdem do miasta ks. Piotra Janika. Przybył on wraz ze swymi parafianami z miejscowości Szybalin, do której w czasie wojny dojeżdżał z Brzeżan - miasta powiatowego w województwie stanisławowskim. Ksiądz Janik zamieszkał na plebani, dołączając do ks. Müllera. Sytuacja niełatwa dla obu księży, była jednak korzystna dla wiernych, gdyż między nasem a czerwcem miasto zamieszkiwało około 3,5 osób - 2 tys. Niemców i 1,5 tys. Polaków [...]. Struktura etniczna ludności ulegała jednak szybkim zmianom. W czerwcu Niemcy, którzy po zakończeniu działań wojennych zaczęli pourlać do miasta, zostali zmuszeni do ostatecznego opuszczenia swoich ziem. W sierpniu miasto liczyło 3054 mieszkańców, w tym 2981 Polaków, a w styczniu 1946 r. 6251 osób, w tym tylko 32 Niemców. 30 czerwca 1945 r. miasto opuścił ksiądz Müller. Doszło do sytuacji, w której ks. Janik był jedynym księdzem katolickim na obszarze od Zbąszynka do Słubic i od Międzyrzecza do Zielonej Góry. Głównym celem działalności księdza było zaspokojenie potrzeb religijnych parafian. Ważne było również zabezpieczenie materialnych podstaw funkcjonowania parafii. Starał się o zabezpieczenie kościołów poza parafią, w tym dawnego klasztoru w Paradyżu, uzyskiwał też okolicznie zbiory poewangelickie.

6 lipca 1945 r. pismem kurii wrocławskiej ks. Janik został mianowany administratorem parafii w Świebodzinie. W korespondencji z kurią używał tytułu vicarius substitutus. Miasto posiadało gotycki, czternastowieczny kościół pw. św. Michała, mogący pomieścić 4 tys. osób. [...] Budynek kościoła obok wojennej i pobyt wojsk radzieckich przetrwał niedle, oczywiście, jak na ówczesne warunki. Zachowane inwentarze uskarzają na stosunkowo dobry stan sprzętów kościelnych i liturgicznych pozostałych po niemieckich księżach. Zachowane zostały również niemieckie dokumenty, przydatne zapewne przy odzyskiwaniu własności kościelnej, a także księgi ślubów i chrztów prowadzone od 1726 r. oraz księgi zmarłych prowadzone od 1749 r. W 1945 r. zostały założone nowe księgi parafialne: od 17 kwietnia księga chrztów, od 22 lipca księga egzaminów przedmałżeńskich, od 3 czerwca księga zgonów, od 24 czerwca księga małżeństw. W ciągu dziesięciu pierwszych lat zarejestrowano: 3593 chrzty, 1113 małżeństw, 816 pogrzebów. Do komunii przystąpiło 1,5 tys. dzieci, 2798 osób bierzmowano, przeprowadzono 100 konwersji. Liczba bierzmowań uskarza, jak wielkie zaległości spowodowały lata wojny.

Ks. Janik ocenił zniszczenia samego kościoła na 5%. Do najpoważniejszych należało uszkodzenie i zaginione tabernakulum, kompletnie zniszczone fasadki oraz w około 50% zniszczone organy. Do tego brakowało wielu szyb, podniszczony był dach i niektóre z sześciu ołtarzy, w tym jeden był zniszczony całkowicie. Zniknęły również duża dzwony. Znacznie gorzej wyglądało pełne gruzu otoczenie kościoła. Zniszczenia były wynikiem żołnierskiej swawoli. Wszystkie ubytki z pomocą parafian szybko uzupełniono. Udało się naprawić nowoczesne XX-wieczne organy napędzane elektrycznym miechem. Zakupiono nowe tabernakulum, naprawiono dach i rynny, ustawiono szyby, zamontowano instalację odgromową, zakupiono nowe fasadki, ubezpieczono oświetlenie kościoła, zainstalowano mikrofony i głośniki. Wyniesiono kilkadziesiąt fur ziemi z otoczenia kościoła, poszerzając tym samym przykościelny cmentarz, wokół cmentarza postawiono 120-metrowy mur. Teren wokół kościoła wyłożono betonowymi płytami. Prace przeprowadzono środkami własnymi parafii. Ważną rolę odegrała w tym względzie Rada Parafialna. 5 lutego 1946 r. kuria w Gorzowie zaleciła utworzenie rad parafialnych, a już 13 marca ks. Janik zwrócił się o mianowanie proponowanych przez siebie osób. [...] Pierwsze posiedzenie Rady odbyło się 31 marca 1946 r. Przewodniczył mu ks. Janik. [...]. Wiceprzewodniczącym został Sobczyński, skarbnikiem Żarnowski, sekretarzem Bilat. Zapoznano się ze stanem kasy kościelnej, której saldo wynosiło 52 zł. W sprawie gruntów należących do Kościoła rzymskokatolickiego w ilości 250 ha pola i 10 ha łąk postanowiono o ich dzierżawie zainteresowanym rolnikom. Pozostawiono otwartą sprawę domów należących do parafii. Postanowiono też, że dom przy ul. Szpitalnej 2 zajmą siostry pasterki.

Wszystkie te działania stanowiły podstawy do właściwej działalności duszpasterskiej zarówno w Świebodzinie, jak i kościołach filialnych. Były to: kościół p.w. św. Jadwigi w Grodzisczu, p.w. Królowej Korony Polskiej w Jeżowach, p.w. Chrystusa Króla w Lubinicku, p.w. św. Elżbiety w Łagowie, p.w. Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Rudgrzmiszkach, p.w. św. Jadwigi w Wilkowie. Kościoły w Wilkowie i Rudgrzmiszkach przed wojną należały do protestantów. Do parafii należały też tzw. kościół szkolny (dawniej zbór ewangelicki), kaplice półpubliczne w domu Sióstr Pasterek, w Caritasie i w szpitalu powiatowym w Świebodzinie.



W sprawozdaniu z sierpnia 1945 r. ks. Janik oceniał liczbę swoich parafian na 5 tys. wiernych. Już 19 sierpnia 56 dzieci przyjęło pierwszą komunię. Widoczna jest duża aktywność wiernych wspomagana przez ofiarną pracę księdza. Szybko rosła liczba organizacji kościelnych. W sierpniu założono Stowarzyszenie Żywego Różańca, liczące z czasem 240 wiernych skupionych w dwóch różach chłopców, ośmiu różach dziewcząt, dwóch różach mężczyzn i osiemnastu różach kobiet. Na terenie szkół średnich powstały Męskie i Żeńskie Sodalicje Mariańskie. W szkołach podstawowych powołano Męskie i Żeńskie Krucjaty Eucharystyczne, podzielone na zastępy, prowadzone przez sodalistów. Działało również Kółko Ministrantów i Milicja Niepokalanej. Wszystkie stowarzyszenia prowadziły ożywioną działalność. W 1948 r. otrzymały pożyczone sztandary. Warto zauważyć że pierwszy na Ziemi Lubuskiej chór „Harfa" miał początkowo kościelny charakter i działał p.w. św. Cecylii. Po powstaniu 15 stycznia 1946 r. Związku „Caritas" w Gorzowie bardzo szybko, bo już w marcu 1946 r., założono Oddział „Caritas" w Świebodzinie, liczący w 1947 r. 27 osób. Opiekunem z ramienia Kościoła był ks. Janik. „Caritas" w swej dobroczynnej działalności, jako instytucja ściśle związana z Kościołem, znaczną uwagę przykładał do posługi religijno-moralnej: sprowadzenie chrztu dziecka, przystąpienie do spowiedzi, zawarcie związku małżeńskiego, zaopatrzenie sakramentami świętymi chorych, ostatnia posługa konającym.

W sferze materialnej działalność „Caritasu" obejmowała pomoc potrzebującym przekazywaną w gotówce, opale, odzieży i żywności. Związek



Półkolonia Oddziału Caritas w Świebodzinie

pomagał w otrzymaniu pracy, w umieszczaniu w zakładach osób bezradnych, dzieci, inwalidów i starców. Dla młodzieży żeńskiej zorganizował bursę i świetlicę, w czasie wakacji prowadził kolonie. Ksiądz Janik szczególną opiekę darzył dzieci i młodzież, zapewne dlatego sprowadził 16 października 1945 r. do parafii siostry pasterki. Już 1 listopada 1945 r. zakonnice otworzyły przy ul. Szpitalnej przedszkole parafialne poświęcone 25. dnia tegoż miesiąca, prowadzone przez siostrę Witkowską. Przedszkole na inaugurację liczyło 33 dzieci, w 1947 r. było ich już 180. Placówka była również wspomagana przez „Caritas". Jedną z większych akcji krajowych „Caritas" była zbiórka, przeprowadzona za zgodą Ministerstwa Ziem Odzyskanych, na rzecz zakładu dla dzieci ociemniałych w Laskach pod Warszawą i świebodzińskiego Zakładu Leczniczo-Wychowawczego dla Dzieci Kalekich, na który zebrano 32 178 zł. Należy podkreślić ścisłą współpracę ks. Janika z Kurią Administracji Apostolskiej w Gorzowie, uzyskanie wymienione organizacje powstały w zgodzie z wytycznymi kurii. W 1949 r. na terenie parafii mieszkało 8648 katolików, 50 prawosławnych, 10 protestantów, 42 świadków Jehowy. Pojawiła się też kategoria określana jako bezwyznaniowcy, związana z władzą polityczną i partyjną, licząca 530 osób.

W kościele p.w. św. Michała w niedzielę odbywały się cztery msze św., na których frekwencja dochodziła do 90%. Msza w uroczysty dzień przykazany około stu osób, a w pierwszy piątek miesiąca około siedmiuset. Poświęcono z frekwencją związaną była sprawa ołtarza głównego. 18 lipca 1946 r. w piśmie do Kurii ks. Janik poinformował, iż na prośbę wiernych usunął środkową część starego gotyckiego tryptyku, a w jego miejsce umieścił obraz Matki Bożej Ostrobramskiej, motywując, iż od tego czasu wzrosła frekwencja w kościele. Powołując się na prośbę Wydziału Kultury i Sztuki w Poznaniu, zaproponował jednoczesne przekazanie tryptyku zainteresowanemu tym muzeum w Poznaniu. Kuria — mocno niezadowolona z tego stanu rzeczy — kategorycznie zakazała przekazywania najcenniejszych kościelnych zabytków ruchomych.

Ks. Janik codziennie sprawiał. Na 6 tys. osób zobowiązanych do przyjęcia Komunii Wielkanocnej przyjmowało ją 5500. Ksiądz podczas kolędy osobiście odwiedzał wiernych, w 1948 r. przyjęto go około 1,5 tys. rodzin, dziesięć miało drzwi zamknięte. W 1951 r. było to już 2,5 tys. rodzin, z których księdza przyjmowało 100% mieszkańców uni i 75% w mieście. Ważną rolę w pracy duszpasterskiej odgrywała nauka religii, która w latach powojennych odbywała się w szkołach publicznych. W liceum i gimnazjum naukę prowadził ks. Janik, w szkołach zawodowych ks. Karhanek, w szkołach podstawowych nauczyciele świeccy. Naukę religii - w wymiarze dwóch lekcji tygodniowo - objęto blisko 1,8 tys. dzieci i młodzieży. Charakterystyczne, że tylko jedna osoba (w szkole średniej) nie uczęszczała na religię. Trudno przecenić zasługi ks. Janika w tym pionierskim okresie. Kuria doceniła go, mianując 16 listopada 1946 r. dziekanem. Z czasem w parafii zaczęli pojawiać się księża wikariusze: Artur Marynowski od sierpnia do grudnia 1945 r., od marca do października 1946 r. służył zdolny kazodzieja ks. Paweł Stęszko, mniał on jednak opuścić parafię. Do końca grudnia ks. Janik pozostawał sam. Pod koniec roku pojawił się ks. Paweł Karhanek, Polak, obywatel czeski, absolwent Seminarium Duchownego w Olsznie urzędowany na kapłana w 1942 r. W opinii ks. Janika kapłan bardzo zdolny, wiele zasłużony dla parafii, lubiany przez wiernych, sumienny w obowiązkach. Opinia ta warta jest przytoczenia, gdyż, ksiądz proboszcz był raczej sędzią surowym w stosunku do swych współpracowników. Ks. Karhanek przebywał w Świebodzinie aż pięć lat. Od 1951 r. kolejno pojawiają się ks. Tadeusz Bieńkowski, ks. Józef Samsonowicz, ks. Zenon Świątkowski. Dopiero od października 1953 r. parafia, licząca już blisko 9 tys. wiernych i 2,5 tys. rodzin, dostała stałego drugiego wikarego Olgierda Ostrokołowicza. Dość częste zmiany wikarych spowodowane były - oprócz decyzji podejmowanych przez kurię - ich cechami, które czasami uwidhuj księdza proboszcza nie odpowiadały wymogom parafii. Decydował też stan zdrowia księży. Na przykład w grudniu 1955 r. odszedł z parafii ks. Władysław Szremet chory na gruźlicę - „klimat jednak Świebodzina - bagnisty - jest zabójczy dla ludzi o słabych płucach" - pisał proboszcz.

Wydanie fragmentu pochodzą z monografii "Dzieje Świebodzina" z artykułu pt. "Kościół i życie religijne po II Wojnie Światowej" autorstwa Pana Ireneusza Grajkowskiego.

Z kart Kroniki Parafialnej

Rok Pański 1946

6. marca przyjeżdża pomocnik Ks. Pawel Styszko, [..]

31. marca odbywa się pierwsze posiedzenie Rady Parafialnej; w składzie ośmiu członków.

28. marca Świebodzin przeżywa doniosłą chwilę: do Świebodzina przybywa J.E. Ks. Adm. Ap. Edmund Nowicki witany owacyjne przez ludność. Postawiono krzyż na cmentarzu kościelnym. Przy poświęceniu tegoż był obecny wojewoda Poznański.

13. czerwca zostaję mianowany dziekanem dekanatu Świebodzin niechętnie na to przystałem, gdyż czas mam i tak bardzo zajęty a honorów nie szukam, nie imponują one mi.



Solidacja Żeńska w czasie procesji

10. lipca przyjeżdża na drugiego wikariusza Ks. Panecki Wiktor, w trzech praca posuwa się dobrze; zwłaszcza Stowarzyszenia kościelne pięknie pracują i rozwijają się wspaniale.
Największą pociechą jest przedszkole liczące ponad 100 dzieci.
Pierwszy zgrzyt chór kościelny, który sam zakładałem, który odbywał próby na probostwie, przenosi się do innego lokalu i ulega zeświecczeniu, przestaje być chórem kościelnym. Przyczyna poza kościołem.

29. września odbywa się uroczyste Bierzmowanie. Ludność ze Świebodzina i całego powiatu zgotowała takie przyjęcie Arcypasterzowi, że jak się sam wyraził - „I król Bolesław nie miałby bardziej uroczystego przyjęcia." Do bierzmowania przystąpiło około 2000 osób. Na skromnej kolacji byli przedstawiciele wszystkich urzędów w Świebodzinie bez wyjątku wszyscy wiwatowali na cześć Pierwszego Biskupa Ziemi Lubuskiej.

20. października wyjeżdża na stałe ze Świebodzina ks. Panecki.

4. listopada opuszcza Świebodzin ks. Paweł Styszko. Zostaję znów sam. W bieżącym roku wyświęciliśmy wszystkie zbory ewangelickie w parafii. Parafia zmniejszyła się przez oddzielenie samodzielnej placówki duszpasterskiej w Szczańcu: odpada sześć wiosek i pięć kościołów filialnych.

15. grudnia przybywa do Świebodzina jako pomocnik ks. Paweł Karhanek. Praca duszpasterska płynie normalnie.



Zbiórka zastępu Krucjaty



Procesja na Boże Ciało

PARAFIALNY ODDZIAŁ AKCJI KATOLICKIEJ * PARAFIA PW. ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA W ŚWIEBODZINIE *



Lato 1946 - Jezioro Zamecko



Żniwa 1947



Z ziemi polskiej do ...

Wspomnienia Pana Stanisława Wyremby
Spisane i opublikowane w 2005 r. na stronach portalu schwiebus.pl

Pod koniec lutego 1944 roku Niemcy rozpoczęli bombardowanie Równego. Kilkanaście nocy z rzędu na śpiące miasto spadały bomby. Co noc uciekaliśmy z miasta z tobołkami na plecach, aby schronić się gdzieś za miastem. Było to bardzo niebezpieczne, gdyż po okolicznych wsiach w dalszym ciągu grasowały oddziały UPA, mordujące teraz nie tylko Polaków, ale również oficerów sowieckich. Celowo opuszczam opisywanie okrucieństw banderowców i bulbowców na polskiej ludności Wołynia. Do dziś jeszcze stoją mi przed oczami oglądane w dzieciństwie obrazy straszne, okrutnie zhańbione ciała kobiet i dzieci, ofiar UPA. Opisy wydarzeń tych lat i ich ocenę pozostawmy historykom. Tereny wschodnie po wojnie zostały Polsce zabrane. Gdy tylko (bez naszego udziału) ustalono nowe granice Polski i zezwolono na „repatriację" Polacy zaczęli przygotowywać się do opuszczenia tych ziem, by udać się na Zachód. Ojciec jako kolejarz otrzymał wagon towarowy i 6 stycznia 1945 roku wyruszyliśmy do Polski.

Była bardzo mroźna zima. W towarowym wagonie jechało nas dwie rodziny. Wieźliśmy ze sobą przygotowane przez mamę skromne zapasy żywności, trochę mebli, bieliznę pościelową, ubrania i starą maszynę do szycia marki Singer, która w trudnych chwilach wojny pomagała nam przeżyć. Na środku wagonu stała „koza"- mały żeliwny piecyk z blaszaną rurą odprowadzającą dym za małe okienko wagonu. Nie było radośnie, dręczył nas niepokój i obawy o przyszłość: jechaliśmy przecież w nieznane. Co nas czeka, gdzie złożymy to nasze skromne mienie, gdy każą nam opuścić wagon? Obawy były uzasadnione. Do Poznania nie mogliśmy jeszcze pojechać. Nawet Warszawa nie była jeszcze wolna. Dojechaliśmy więc tylko do Zamościa. Jechaliśmy kilka dni, mimo niewielkiej przecież Odległości.

Wojna miała się ku końcowi. Po wypędzeniu Niemców za Odrę w połowie kwietnia 1945 roku ojciec kolejny raz „załatwił" wagon towarowy i ruszyliśmy na Zachód. Nie pamiętam, gdzie ojciec „skombinował" (wtedy prawie wszystko należało kombinować) 20-litrowy baniak spirytusu, który wieźliśmy ze sobą jak skarb. Miało to być zabezpieczenie rodziny na dalszą drogę w nieznane. Ostatecznym celem tej wędrówki miała być Wielkopolska, gdyż rodzice moi, jak wspominałem już wcześniej, pochodzili z tych stron i zamierzali resztę życia spędzić w rodzinnych stronach.. Było już ciepło. Przejeżdżaliśmy przez Warszawę. Wtedy po raz pierwszy widziałem naszą stolicę. Jakże była zniszczona. Siedziałem na dachu wagonu towarowego i obserwowałem zrujnowane miasto. Przez most na Wiśle jechaliśmy wolniutko. Wydawało się, że drewniany most kołysze się i niedługo się zawali. Bałem się.

Po 2-3 dniach dotarliśmy do Poznania. Staliśmy na bocznicy na jednej z poznańskich stacji przeładunkowych. Ojciec załatwiał pracę w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych. Wszystko ułożyło się po jego myśli. Następnego dnia rano mieliśmy opuścić wagon i prze-nieść się do niewielkiego mieszkanka opuszczonego przez Niemców w którejś z dzielnic Poznania. Zasnęliśmy zadowoleni, po raz ostatni, jak nam się wydawało, w bydlęcym wagonie, ciesząc się na rychłą normalizację naszego życia. Już prawie świtało, gdy obudził nas stukot kół. Jechaliśmy. Gdy pociąg zatrzymał się, bo maszynista brał wodę z hydrantu na stacji, podnieśliśmy alarm i odczepiono nas. Okazało się, że zostaliśmy omyłkowo doczepieni do składu wojskowego jadącego na Berlin. Dopiero teraz zorientowaliśmy się, że minęliśmy już przedwojenną granicę Polski. Stacja nazywała się Schwiebus-Świebodzin. Na stacji prawie wyłącznie obsługa sowiecka, komendant stacji oficer sowiecki. Wyładowaliśmy się. Potrzebni są kolejarze-Polacy. Stacja nieduża, w sam raz dla mężczyzny w średnim wieku. Mieszkań i domków jednorodzinnych ile dusza zapragnie.

Ojciec jako kolejarz, natychmiast został zatrudniony w charakterze nastawniczego na stacji. Wskazano mu mieszkanie w domu przy ulicy Angerstraße (dziś ulica 3 Maja). Całkowicie umeblowane. Za sąsiadów mieliśmy żołnierzy sowieckich. Niezbyt się nam tam podobało i po 2-3 dniach przenieśliśmy się do ładnego domu z wieżyczkami jak w zamku przy Kutschlauer Straße, (dziś ul. Łużycka).

Ogromna willa, całkowicie pusta, przerażająco pusta, zimna, obca. Mieszkaliśmy tam chyba też ze dwa-trzy dni, poszukaliśmy czegoś bardziej przytulnego i przenieśliśmy się na ul. Kościuszki. Wreszcie było tak, jak nie było nigdy przedtem: każdy miał swój pokój a mama piękną spiżarnię W piwnicy resztki ocalałych przetworów w wekach, brykiety węgla brunatnego, porąbane i poukładane drewienka do podpałki i przydomowy ogródek warzywny, czekający na ręce chętne do jego uprawy. Poczuliśmy, że wreszcie to jest to, co nam się należało po tylu latach wojennej niewoli i tułaczki.

Obok nas stacjonował na czasowych kwaterach niewielki oddział Wojska Polskiego. Dawało to nam poczucie bezpieczeństwa. Tu 8 maja (a może 9 maja?) obudziła mnie strzelanina. Zerwaliśmy się przerażeni. Koniec wojny! Każdy, kto miał z czego, puszczał serie w powietrze. Zresztą wszyscy strzelali, wszyscy cieszyli się, wszyscy byli szczęśliwi. Mieliśmy do tego prawo. Nie byłbym chłopakiem, gdybym i ja z tego nie skorzystał. Pobiegłem do żołnierzy i przymilnie poprosiłem o możliwość oddania kilku serii. Postrzelałem sobie razem z nimi. Nie jadłem tego dnia, nie piłem, sycilem się pokojem i euforią, która mu towarzyszyła. Piękny prezent imieninowy sprawił mi los.



Koniec roku szkolnego '45



Koło ministrantów '46



I gimnazjum koniec roku '46



Seminarium '47



Pomoc UNRRA '47

Piękniejszego chyba trudno sobie wyobrazić.

Pewnego dnia ktoś puścił plotkę, że musimy opuścić domy w dolnej części ul. Kościuszki, bo zajmie je wojsko. Ojciec nawet się ucieszył, bo znalazł domek niedaleko stacji, przy Ringstrasse (ul. Poprzeczna). Będę miał blisko do pracy - mówił. Nastąpiły kolejne przenosiny. Na zwykłym stacyjnym wózku bagażowym ulokowaliśmy swoje mienie i ruszyliśmy znów przed siebie drogą wzdłuż toru kolejowego. Na końcu ulicy jest ten wolny dom, o którym wspominał ojciec. Oglądamy go. Podoba się. Tu zostajemy. W piwnicy domu również były brykiety i resztki poczynionych przez byłych gospodarzy przetworów. Ktoś już buszował w całym obejściu. Wyraźne ślady szabrowniczej działalności. Na podwórku stał samochód, również rozszabrowany. Z resztek jakichś gazet, listów, notatek wywnioskowaliśmy, że dom należał do pracownika poczty (może jej naczelnika?). Dom był dwurodzinny, druga część też była jeszcze pusta. Stał przy ulicy prowadzącej w szczere pola w kierunku „domku kata", jak kiedyś nazywano resztki jakiejś budowli na wzgórzu za miastem. Nasz dom miał uszkodzony dach, bo tam, na dachu było stanowisko obrony przeciwlotniczej. Dach wymagał remontu. Dom otaczał piękny, duży ogród, a w nim krzaki porzeczek, agrestu, drzewka owocowe. Przy domu kilka grządek do uprawy warzyw. Na jednej z nich pędy szparagów. Radowało to nasze oczy. Do pracy tata miał bliziutko, jak nigdy przedtem. Tu też każde z nas miało swój pokój. Nawet było ich za dużo. Większość mebli była rozszabrowana, ale to, co zastaliśmy wystarczyło nam. Osiedle to z czasem stało się osiedlem kolejarskim. Zaczęli je zasiedlać coraz to nowi kolejarze przyjezdni ze wschodu i z centralnej Polski. Zaczynało żyć na nowo.

W maju zacząłem chodzić już do klasy szóstej. Była to szkoła w Świebodzinie przy ul. gen. Sikorskiego. Przyjęto mnie do klasy szóstej, chociaż praktycznie nie miałem żadnego dokumentu. Tak było po wojnie: bardziej liczył się wiek ucznia i dobre chęci, niż posiadane przez niego świadectwa.. Po miesiącu ukończyłem klasę szóstą, co dawało mi prawo nauki w czteroletnim wówczas gimnazjum.

Od września rozpocząłem w nim naukę w klasie pierwszej. Szkoła mieściła się w Parku Miejskim. 27 czerwca 1946 roku ukończyłem pierwszą klasę miejscowego gimnazjum. Na zdjęciu widać, jak wielkie szkody poczyniła wojna. Prawie 6 lat nie było mowy o solidnej systematycznej nauce. Mało komu udawało się zdobywać wiedzę potajemnie, na kompletach lub indywidualnie. W klasie pierwszej gimnazjalnej znaleźli się uczniowie w różnym wieku, przeważnie opóźnieni w nauce. Każdy z nas odczuwał głód wiedzy, obiecywał sobie, że nadrobi stracone lata. Wielu z nas to się udało.

Przed ukończeniem pierwszej klasy gimnazjum mama przypomniała mi o danej przez nią Bogu obietnicy, że odda mnie na naukę na księdza. Nie czułem specjalnego powołania do stanu kapłańskiego, lecz nie protestowałem przeciwko jej decyzji. Tym bardziej, że nawet cieszyłem się, iż więcej nie będę musiał paść naszych domowych kóz. „Przecież to nie wypada, aby przyszły ksiądz pasł kozy" – myślałem sobie.

Na początek mama zachęciła mnie do przystąpienia do koła ministrantów przy kościele parafialnym p.w. św. Michała Archanioła. Życie religijne organizował wówczas pierwszy polski proboszcz Świebodzina, ks. kanonik Piotr Janik. „Szefem" naszym był siedzący po prawej stronie ks. Janika mój sąsiad z ulicy Poprzecznej, dorosły już wtedy Józef Żuierko. Księdzu podobał się plan wysłania z parafii przynajmniej jednego kandydata do stanu duchownego. Gorąco popierał plany mojej mamy i starał się przekonać mnie do wyboru tej właśnie drogi życiowej. Dałem się przekonać.

Do powstającego właśnie w Gorzowie niższego seminarium duchownego ze Świebodzina poszło nas wówczas trzech. Wszyscy byliśmy ministrantami. Ks. Janik pomógł nam pozałatwiać wszystkie formalności. Pod koniec sierpnia 1946 roku udaliśmy się do Gorzowa, gdzie przy ulicy Władysława Łokietka na prawym brzegu Warty mieściło się Niższe Seminarium Duchowne.

Żyliśmy odizolowani od trosk dnia codziennego, od polityki, od przemian dokonujących się w kraju, tych dobrych i tych złych. Materialnie nie brakowało nam niczego. Dużą pomocą były paczki UNRRA. Były w nich artykuły żywnościowe, odżywki, leki. Ferie i część wakacji spędzaliśmy w swoich domach, u rodziców. Naszym obowiązkiem było „zameldowanie się" u miejscowego księdza proboszcza i aktywne uczestnictwo w życiu parafii, co czyniłem. Często bywałem na nastawni, gdzie pracował mój ojciec. Jak większość dzieci kolejarzy zanosiłem mu obiady. Lubiłem siedzieć na nastawni, obserwować ruch pociągów, przestawiać zwrotnice, otwierać semafory.

W 1949 roku po trzech latach nauki w Gorzowie, po zdaniu tzw. małej matury (po 4 klasie gimnazjum) zdecydowałem się wystąpić z seminarium, wrócić do Świebodzina i kontynuować naukę w liceum ogólnokształcącym. Była to dla mnie ważna, lecz niełatwa decyzja. Dojrzewałem do niej trzy lata. Wiedziałem, że bardzo zmartwię tym swoją mamę, że zaboli ją to mocno. Nie chciałem jej ranić, ale nie odczuwałem umiłowania swego rodzaju ascezy, chciałem żyć pełnią życia, chciałem służyć ludziom, ale bez wyrzekania się wszystkiego, co ludzkie. Chciałem być uczciwy wobec siebie i innych, wolałem być dobrym świeckim niż złym duchownym.

Z kart Kroniki Parafialnej

Rok Pański 1947

Nowy Rok przynosi nowe stowarzyszenie kościelne „Caritas". Nasz oddział Caritas pracuje nieźle. Zakładamy internat dla dwudziestu uczennic. Prowadzimy kartoteki podopiecznych. Pomocników świeckich mamy dobrych. Niesiemy pomoc potrzebującym.
8. lutego przyjeżdża do Świebodzina ks. Okoński Franciszek w charakterze kierownika mającego powstać w Świebodzinie Zakładu Leczniczo-Wychowawczego dla dzieci kalekich. Zakłada go Centrala Caritas z Krakowa.

25. marca organizujemy chór kościelny, który swe próby odbywa w salce parafialnej.

15. sierpnia rozpoczynają się długo przygotowywane Misje Święte pod przewodnictwem oo. Misjonarzy z Krakowa Wincentym. Mówią dobrze. Parafia przez dwa tygodnie żyje tylko duchem Misji, zwłaszcza mężczyźni dopisują. Imponujące procesje dookoła miasta z bardzo ciężkim dębowym krzyżem. Mimo ulewy procesja odbywa się i nikt z procesji nie odszedł do domu.Krzyż zatknięto przy wejściu z Rynku do kościoła.

Od września rozwijamy Krucjatę Eucharystyczną. Dzięki sodaliskom praca w Krucjacie rozwija się. Liczba członków - rycerek dochodzi do 250 członków rycerzy do 70. Zgromadziliśmy najlepszą młodzież miasta. Prace urozmaicamy częstymi wycieczkami. Nawiązujemy łączność z innymi Krucjatami np. Buk, Nowy Tomyśl i innymi.

1. listopada Ks. Okoński wyjeżdża ze Świebodzina. Na jego miejsce kierownictwo zakładu obejmuje ks. Władysław Szkarłat.



Stawianie Krzyża Misyjnego



Procesja z Krzyżem Misyjnym



Ojcowie Misjonarze i Spowiednicy

Rok Pański 1948

Cały rok minął bez większych wydarzeń. Do kościoła sprowadzono kilka kap, kilka ornatów, znaczną ilość bielizny kościelnej, kilka nowych sztandarów i chorągwi. Każde stowarzyszenie otrzymuje swój sztandar. Poświecenie tychże sztandarów odbywa się bardzo uroczyście.

30. grudnia wyjeżdża ze Świebodzina ks. Władysław Szkarłat. Rozszerza się plac przy kościele od strony głównych drzwi. Kościół bowiem tak był zabudowany od frontu, że nie tylko o procesji nie było mowy, ale nawet trudno było wychodzić.



Poświęcenie sztandaru Sodalicji Żeńskiej



Poświęcenie sztandaru Chóru Kościelnego "Chrzestni"



Poświęcenie obozu harcerskiego W Przełazach



Z kart Kroniki Parafialnej



Boże Ciało '50



Rok Pański 1949

9. stycznia odbywa się po raz drugi rejonowa konferencja księży z kilku sąsiednich dekanatów (pierwsza odbyła się 26. listopada 1946 r.). Przybywa J.E. Ksiądz Administrator Apostolski Edmund Nowicki. W pracy duszpasterskiej zaczyna się odczuwać pewne trudności wysuwane niewidzialnymi rękoma.

29. marca rozpoczynają się rekolekcje pod przewodnictwem oo. Kapucynów trwały cały tydzień. Frekwencja nadzwyczajna.

10. - 12. kwietnia rekolekcje dla młodzieży. Udział młodzieży 100%. Wrzesień poświęcony na zbiórkę na Seminarium. Ofiary chętnie składają.

2. - 9. września Tydzień Miłosierdzia cieszy się powodzeniem.

30. października pamiętny dzień: wszystkie stowarzyszenia kościelne rozwiązane. Z płaczem rozchodzi się dziatwa krucjat, z głębokim zamyśleniem się starsi.

Od 3. do 8. grudnia odbywają się rekolekcje adwentowe. Prowadzą oo. Oblaci. Frekwencja jak zwykle doskonała.



Rok Pański 1950

23. stycznia zostaje przez Władze Kościelne rozwiązany Caritas. Rewizja świeckiej komisji oddziału Caritas w Świebodzinie nie wykazała żadnych niedociągnięć. Praca duszpasterska zamyka się w kościele i w biurze parafialnym.

30. marca rekolekcje wielkanocne: prowadzi ks. Kaczmarek z Sulechowa.

W czasie wakacji alumn Seminarium Duchownego w Gorzowie Jan Hrynkiewicz udziela lekcyj religii po wioskach i w mieście. Zakładamy 13 nowych lamp elektrycznych do kościoła parafialnego, gdyż trochę było za ciemno w czasie nabożeństw.

26. 29. października przeprowadzam sam Triduum dla mężczyzn, frekwencja słaba.

30. października 1 listopada Triduum modlitw za zmarłych frekwencja wspaniała.

17. 24. grudnia Rekolekcje adwentowe pod przewodnictwem oo. Redemptorystów. Frekwencja nie zbyt wielka. Nie umieją ruszyć dusz wiernego ludu.

Rok Pański 1950 to Rok Jubileuszowy.

Wierni licznie przystępują do Stołu Pańskiego spełniając warunki dla uzyskania odpustu jubileuszowego.

Pięć razy w ciągu roku urządziliśmy wspólne procesje i wspólne nawiedzanie kościoła parafialnego procesji poza kościołem bez specjalnego zezwolenia władz świeckich urządzać nie wolno w czasie roku jubileuszowego widziało się jak lud wierny jest pobożny, a jednocześnie budziła się trwoga o pobożność następnego pokolenia. Uroczyste i wspaniałe było zakończenie Roku Jubileuszowego.









PARAFIALNY ODDZIAŁ AKCJI KATOLICKIEJ
PARAFIA PW. ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA W ŚWIEBODZINIE

A Szybalina żal

Jako dziecko razem z rodzicami pożegnałam Kresy - wieś Szybalin, powiat Brzeżany, województwo tarnopolskie. Miałam siedem lat, był koniec maja 1945. Kwitły drzewa owocowe w naszym sadzie, a były to odmiany nietuzinkowe. Wysiedlenie i rozpacz rodziców pamiętam do dziś. Spakowani czekaliśmy na transport kilka tygodni. W tym czasie do naszego domu przywieziono Ukraińców, przesiedleńców z Podkarpacia. Na jednej kuchni potrawy gotowały moja mama i Ukrainka, zgadzały się, zaprzyjaźniły. Rodzina ta była zadowolona z naszego gospodarstwa, jednego z lepszych we wsi.

Przyszedł czas wyjazdu. Do punktu zbiorczego można było zabrać określoną ilość żywności, rzeczy osobistych, inwentarza. Przy stacji kolejowej zostawiliśmy krowę i konia, to samo zrobili pozostali repatrianci. Ludzie płakali, rozpacz była ogromna. Najbardziej utkwił mi widok mojego ojca, jak uderzał głową w dom, tak się z nim żegnał. Było to pożegnanie z całym dorobkiem. Ojciec był uczestnikiem I wojny światowej. Wrócił na zgliszcza, mieszkał w szałasie, wybudował dom, budynki gospodarcze. W tamtych latach wioski powstawały na zasadzie pomocy sąsiedzkiej, nie było podziałów. Tworzyły się rodziny polsko-ukraińskie. Pamiętam domy - polski, obok ukraiński, i tak na przemian.

Z kryjówki do kryjówki

W latach 1944-45 przeżyliśmy horror. Banderowcy pod osłoną nocy napadali na wsie, palili domostwa, mordowali Polaków. Niemowlaki rozrywano na pół, kobietom ciężarnym rozcinano brzuchy, odcinano piersi, mężczyznom na plecach nożem ryto "Lachy." Kryliśmy się na noc, ja na strychu dostawałam spazmów. Ojciec zrobił w obejściu dwie kryjówki: jedną w zaspie śniegu, drugą w szopie w słomie - tunel. Siedzimy w nocy, jadą banderowcy, szopa była przy drodze, wystarczyło podpalić i byśmy się udusili. Ale lepsze to niż tortury. Słyszeliśmy ich rozmowy, co kiedy i gdzie napadną. W tym czasie miałam atak kaszlu. Pomyślałam: koniec, po nas, usłyszą i podpalą. Mama zdjęła chustę z głowy i włożyła mi do ust. Dusiłam się, oczy wychodziły na wierzch.

Pamiętam napad na naszą wieś zimą 1944. Mama przez okno zobaczyła, że płonie wioska po drugiej stronie rzeki. Ja już spałam, więc zawinęła mnie w koc, na nogi włożyła oficerki ojca i uciekłyśmy do zaprzyjaźnionej Ukrainki. Przyjęła nas i razem ze swoimi dziećmi ukryła w zejściu do piwnicy przy piecu kuchennym. Na tym zejściu stał kosz z drewnem, leżały stare szmaty i śmieci. Rano była groza, psy ujadały, pół wioski spalono. I nagle pukanie do okna. To był uciekinier, kolega ojca, przed banderowcami ukrył się w rzece, przeczekał tak kilka godzin, potem czołgał się po łące, aż dotarł do Ukrainki. Opowiadał, co tam się działo. Żonę, mamę i córkę ciężarną ukrył w stogu siana, przeżyły.

Po tym wieczorze zorganizowano warty, milicja i gospodarze pilnowali wsi. Nic to nie dało. Następnej nocy napadli na posterunek. Zginął mój kuzyn, rażony granatem. Koledze odcięli nogi i ręce, wykrwawił się. Ojciec starszą siostrę i mnie wywiózł do Brzeżan, do zaprzyjaźnionej pani. W miastach banderowcy nie grasowali, ale było inne zagrożenie. Sowieci przeczesywali mieszkania, gwałcili kobiety i dziewczyny.[...]

Wyjazd na ziemie odzyskane nastąpił wiosną 1945, trwał kilka tygodni. Z podróży można by nakręcić film jak "Sami swoi". Załadowano nas do wagonów towarowych, po kilka rodzin z niewielkim dobytkiem. W kącie stały dwie kozy, żywicielki wdowy i jej dziecka. Ja też dostawałam kubek mleka. Podróż była smutna, uciążliwa, ale zdarzały się sytuacje humorystyczne. Pociąg często stawał w szczerym polu. Maszynista mówił: "Brak paliwa." Gdy mężczyźni zrobili zbiórkę do kapelusza, poczęstowali bimbrem, to jechał dalej. W czasie postoju biedni repatrianci układali cegły, rozpalali ogień i grzali jakąś strawę. Maszynista był czujny i jak nie dostał bimbru, to ruszał bez ostrzeżenia. Tak została kobieta z



Lata 30. Kurs kroju i szycia w Szybalinie. Pierwsza z lewej siedzi Maria Szynklarz, siostra pani Cecylii

kozami, które wyprowadziła na popas. Co przeżyła, strach myśleć. Szła wzdłuż torów i dogoniła nas, gdy staliśmy w Katowicach. Wróciła do naszego wagonu i do córki.

Dotarliśmy do Świebodzina, rozładowani, na bocznicy czekaliśmy na przydział osiedlenia. Do Skąpego nasz transport zwozili wcześniejsi osadnicy. Ojciec wybrał piękny dom, wiele gospodarstw stało pustych, Niemcy z małym bagażem wyjeżdżali ze wsi. Ruscy zajmowali większą część tego domu, my tylko dwa małe pokoje i kuchnię. Piwnica i strych były zamknięte, pilnował wartownik. Po miesiącu z tych pomieszczeń wywieźli coś czterema wielkimi samochodami. Z całego Skąpego zwozili i dalej na Wschód. Pędzili też stada krów, które kobiety ze wsi musiały doić. Moim rodzicom trudno było się rozpakować, bo myśleli, że za miesiąc lub rok wrócą na Kresy.

Proboszcz Piotr Janik

W naszym transporcie jechał ksiądz Piotr Janik, który był proboszczem w Szybalinie. Kościół powstał tam z inicjatywy mojego ojca, który był też Budowniczym, zwoził materiały, kwestował z młodzieżą polską, kolędował z ludźmi od domu do domu, zbierając datki. W latach 40. świątynię oddano do użytku, chodziłam tam na religię, sypałam kwiatki na Boże Ciało. Po wysiedleniu nas Rosjanie zrobili w kościele magazyn zbożowy.

Ksiądz Janik z kościoła w Szybalinie zabrał obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, który wisi dziś w kościele Michała Archanioła w Świebodzinie. Był pierwszym polskim księdzem w Świebodzinie we wrześniu 1945. W czerwcu 1946 został dziekanem dekanatu świebodzińskiego, byłam na tych uroczystościach. Ksiądz Janik chrzcił mnie i udzielał Pierwszej Komunii Świętej. Studiował na wydziale teologicznym we Lwowie, został magistrem, egzaminy zdał celująco. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1932 roku we Lwowie. Uczył w szkołach powszechnych w Brzeżanach i okolicy. W czasie wojny brał udział w tajnym nauczaniu, ucząc matematyki, łaciny, niemieckiego. Do Szybalina dojeżdżał 14 km, by uczyć religii i polskiego.

Podczas posługi w Świebodzinie uczył religii w gimnazjum i liceum, sprawował opiekę kapłańską w szpitalu i sanatorium rehabilitacyjno-ortopedycznym. W roku 1973 został kanonikiem gremialnym Gorzowskiej Kapituły Katedralnej. Nie zdążył przejść na emeryturę, zmarł w marcu 1978.

Tęsknię za Kresami. Ziemia tarnopolska to jak poezja. Spokojna, urokliwa wieś Szybalin, przez którą przepływała Cyniówka, rzeka czysta, pełna ryb, leniwa, ale też burzliwa, często wylewała. Łąki przy niej ukwiecone. Kobiety, po kolana w wodzie, prały bieliznę. Na łąkach wybielały się płótna moczone w rzece. Płótna były tkane na warsztatach, które zimą stały w każdym domu.

Wspomnienia Pani Cecylii Sik z Ciborza, opublikowane w czerwcu 2013 r. na łamach elektronicznego wydania Gazety Lubuskiej



Miejscowość Szybalin pojawia się w źródłach od 1475 roku, jako własność Andrzeja z Sienna.

Pierwotnie Szybalin należał do rzymskokatolickiej parafii w Brzeżanach. Samodzielna parafia została tu utworzona dopiero w latach trzydziestych XX wieku. Pierwszy administrator został ustanowiony w sierpniu 1933 roku i był nim Franciszek Żelichowski. Dnia 13 lutego 1934 roku arcybiskup metropolita lwowski Bolesław Twardowski wydał dekret o utworzeniu samodzielnej parafii w Szybalinie.

Pierwsza kaplica w Szybalinie powstała w 1899 roku. W czasie I wojny światowej kaplicę zdewastowali, a następnie wysadzili granatami żołnierze austriacko-węgierscy. Dnia 19 kwietnia 1925 roku dzięki wcześniejszym zabiegom ks. Bronisława Limanowskiego doszło do poświęcenia działki pod budowę kościoła, a 21 czerwca tegoż roku w czasie uroczystej procesji z kościoła brzeżańskiego odbyło się położenie kamienia węgielnego. Konsekracja nowego kościoła miała miejsce dnia 30 września 1928 roku.

W 1932 roku wybudowano obok kościoła plebanię i budynki gospodarcze. W świątyni znajdował się główny ołtarz, wykonany zgodnie z projektem autorstwa Jana Wójtowicza z Przemyślan, datowanym na 13 sierpnia 1928 roku. W 1939 roku świątynia wzbogaciła się bocznym ołtarzem pod wezwaniem św. Franciszka z Asyżu

Ostatni proboszcz ks. Piotr Janik opuścił Szybalin 21 maja 1945 roku. Kościół już niebawem został zamieniony na magazyn kołchozowy, a obecnie pozostaje opuszczony.












Rachunek roczny



Wielu sądzi, że pokaźnych rozmiarów obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, jaki widniał w ołtarzu głównym w latach 1945-1998 (dziś wisi opodal ołtarza Matki Bożej Zwycięskiej - Immaculaty), został przywieziony przez ks. P. Janika, który przybył do Świebodzina na czele parafian z Szybalina spod Brzeżan w woj. Tarnopolskim.

Jak się okazało, na zlecenie proboszcza malował go Ludwik Maciszewski (1920-1993), artysta obieżyświat ozdabiający kościoły w całym kraju. Jego żona mieszkała z dziećmi w Świebodzinie, a syn - inż. Andrzej Maciszewski (mieszkaniec naszego miasta) jest w posiadaniu małej kopii, sporządzonej zapewne dla potrzeb zlecenia. Zachował się rachunek roczny z 04. stycznia 1948 r., w którym pod pozycjami 115, 127, 131 i 135 zaksięgowano wydatki związane z realizacją zlecenia.

Uzasadniając umieszczenie malowidła w ołtarzu zamiast średniowiecznej rzeźby (ta została przeniesiona na plebanię), ks. Piotr Janik podawał zwiększenie liczby wiernych, szczególnie tych pochodzących z Kresów, na mszach świętych.

Zachowało się pismo kurii wyrażające zamiar przekazania rzeźby do muzeum w Poznaniu z pouczeniem, by obiektów będących własnością kościelną nie wydawać świeckim.

Po renowacji ołtarza w 1998 r. kan. Benedykt Pacyga, przenosząc obraz na mniej godne miejsce, obiecywał kresowianom stworzenie kaplicy p.w. Matki Boskiej Ostrobramskiej w emporze przy południowej nawie świątyni.

Z kart Kroniki Parafialnej
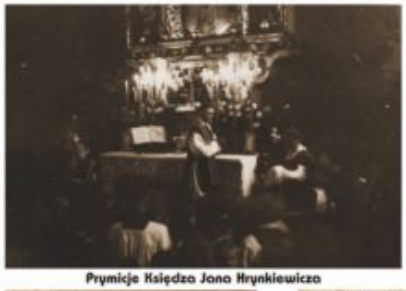


Dzień skupienia kapłańskiego 30. Maja 1952 r.









Prymicje Księdza Jana Hrynkiewicza

Rok Pański 1951

Styczeń opuszcza Gorzów Administrator Apostolski. Ordynariuszem zostaje Ks. Tadeusz Załuczkowski, były dziekan Szczecina.

4. - 10. marca rekolekcje przeprowadza Ks. Proboszcz Wiesław Kaczmarek z Kaławy. Wstrząsnął parafią: wszyscy spieszą na jego nauki.

Przeprowadza się po raz drugi gruntowny remont dachów kościelnych w Świebodzinie. Naprawiamy schody przy wejściu do kościoła i sporządza się płytę betonową dookoła kościoła. Wstawiamy wszystkie nowe ławki do kościoła parafialnego, gdyż stare zupełnie były spróchniałe. Koszt znaczny, ale powoli i to przyjdzie.

Gorzej z młodzieżą. Dwie szkoły zawodowe bez religii.

1. Września opuszcza Świebodzin ks. Paweł Karhanek na jego miejsce przyjeżdża ks. Tadeusz Bieńkowski.

Rok Pański 1952

Umiera Ks. Prałat Załuczkowski.

Od 15. marca diecezją rządzi nowy ordynariusz Ks. Prałat Zygmunt Szelążek.

27. marca Ks. Tadeusz Bieńkowski, wikary, wyjeżdża ze Świebodzina, na jego miejsce przyjeżdża Ks. Józef Samsonowicz.

Od 30. marca do 6. kwietnia rekolekcje wielkanocne przeprowadza Ks. mgr. Anezarski, Referent Kurii w Gorzowie. Frekwencja w czasie nauk słaba. Spowiedzi św. jednak wielkanocną odbywa bardzo dużo wiernych. Spowiadają wszyscy księża dekanatu przez dwa całe dni. W rekolekcjach dla młodzieży bierze udział ok. 60% młodzieży. Część młodzieży dojeżdżającej bierze zapewne udział w rekolekcjach w swoich parafiach.

18. kwietnia wybucha pożar w budynku gospodarczym przy probostwie w Świebodzinie. Pożar z podpalenia. Gdyż był to budynek stary i właściwie nieużywany, strata niewielka.

25. kwietnia odwiedził Świebodzin w przejeździe Ks. prałat Zygmunt Szelążek.

25. kwietnia, wszedłszy przypadkowo do kościoła o godz. 21:15 zastałem młodego mężczyznę chodzącego po kościele, potem udał śpiącego. Niewątpliwy złodziej. Nazajutrz rano podobno został puszczony wolny.

Dnia 1. czerwca parafia przeżywa podniosłą uroczystość, prymicje ks. Jana Hrynkiewicza, wychowanka Seminarium w Gorzowie. Uroczystość zgromadziła około 5000 osób kościół wszystkich nie mógł pomieścić.

Dnia 1. września opuszcza Świebodzin ks. Samsonowicz, wikary w Świebodzinie. Na jego miejsce przyjedzie ks. Zenon Świątkowski, wychowanek Seminarium w Gorzowie. Od 1. września nauka religii wszystkiej młodzieży naszej parafii odbywa się w salce parafialnej w godzinach po południowych.











Rok Pański 1953

Wchodzimy w ósmy rok pracy parafialnej. W Imię Boże wkraczamy w dalsze życie religijne. Lud wierny garnie się tłumnie do świątyni zda się, że coraz więcej przybywa wiernych. Dało się to odczuć w czasie uroczystości Świątecznych i noworocznych.



Za czasów do r. 1945 kościół parafialny tak był zabudowany, że procesja nie mogła odbyć się dookoła kościoła. Powoli rozszerzamy cmentarz przykościelny. W tym roku postawiono 35m długi mur nowy, przesuwając go o 7m dalej od kościoła.







Z kart Kroniki Parafialnej

Rok Pański 1953

Rekolekcje wielkopostne przeprowadził ks. Witucki, wielki kaznodzieja „Miłosierdzia Bożego Jezu Ufam Tobie". Frekwencja nadzwyczajna. Rozdano 10000 (dziesięć tysięcy) Komunii Św. Wielkanocnej a po Wielkanocnej do Trójcy św. jeszcze ze 4000 (cztery tysiące).

Dnia 1. czerwca przybywa do Świebodzina J.W Ks. Infułat Zygmunt Szelążek, Ordynariusz Gorzowski celem udzielenia sakramentu bierzmowania. Do Bierzmowania przystąpiło 1300 wiernych. Powitanie Ordynariusza odbyło się przy kościele.

We wrześniu przybywa na stałe drugi wikary do parafii Świebodzin w osobie ks. Olgierda Ostrokołowicza, wychowanka Seminarium Gorzowskiego. W jesieni przeprowadzono remont dachu na kościele parafialnym i odmalowano zakrystię. Praca duszpasterska rozwija się normalnie utartym szlakiem życia parafialnego.









Pierwsza Komunia Św. Z Księży siedzą: ks. Ostrokołowicz, ks. Janik, ks. Świątkowski i ks. Piotrowski.



























Dnia 17. marca 1957 r. Ks. Janik poświęcił nowe ornaty białe dwa, dziesięć stuł biało-fioletowych i dziesięć komż. Poświęcenia dokonano uroczyście w kościele po Mszy Św. o godz. 12. Ze względu na to, że od kilku miesięcy Kościół w Polsce znajduje się w innym niż przez szereg lat położeniu poproszono wiernych ażeby wpisali się jako chrzestni do tej kroniki dla pamięci i przykładu potomnych.

